

Karolina Elbanowska: Ministerstwo wprowadza nową pedagogikę

Masowe likwidacje podstawówek zarówno w małych miasteczkach, jak i wielkich aglomeracjach, są pokłosiem reformy edukacji wprowadzonej dwa lata temu



Masowe likwidacje podstawówek zarówno w małych miasteczkach, jak i wielkich aglomeracjach, przeciwko którym protestują rodzice, są pokłosiem reformy edukacji wprowadzonej dwa lata temu

Rozmowa z Karoliną Elbanowską, współzałożycielką Stowarzyszenia i Fundacji Rzecznik Praw Rodziców. O oświatowym armagedonie, edukacyjnym falstarcie i przeliczaniu dobra dzieci na PKB rozmawiała Małgorzata Michalska.

Małgorzata Michalska (Teologia Polityczna): Czas realizacji reformy oświaty z 2009 roku powoli dobiega końca. W poniedziałek Stowarzyszenie Rzecznik Praw Rodziców złożyło wniosek do sejmu o wprowadzenie zmian w tej sprawie. **Przeciwko czemu protestujecie?**

Karolina Elbanowska: My już właściwie nie protestujemy, to rzeczywistość protestuje. Przyszliśmy do sejmu z projektem obywatelskim, ponieważ to, co obecnie dzieje się w oświacie, a co dotyka bezpośrednio najmłodszych dzieci, jest zrealizowaniem wszystkich naszych czarnych przepowiedni sprzed dwóch lat. To wtedy przez sejm została przegłosowana ustawa o obniżeniu wieku szkolnego. Ułatwiła ona również likwidacje szkół, szczególnie tych małych, a dodatkowo zdjęła z samorządów nadzór kuratoriów. Od stycznia bieżącego roku już 300 szkół zostało zgłoszonych do likwidacji.

Szkoły są zamykane przez samorządy?

Samorząd kieruje się głównie czynnikiem finansowym. Kalkuluje, czy mu się coś opłaca, czy nie. Tutaj nie ma myślenia o dzieciach, o tym, że łatwiej byłoby im uczyć się w szkole, która jest bliżej domu, naucza na wyższym poziomie w kameralnej atmosferze. Samorząd jest w stanie zamknąć wszystkie szkoły, które uzna za nierentowne. Ważne są tylko koszty. To dlatego władze lokalne tak usilnie namawiają by rodzice wysyłali dzieci do klas pierwszych: na ucznia otrzymują subwencję, a za dziecko w zerówce muszą płacić z własnego budżetu.

Czy jest szansa na to, żeby odwołać się od decyzji o likwidacji szkoły?

Masowe likwidacje podstawówek zarówno w małych miasteczkach, jak i wielkich aglomeracjach, przeciwko którym protestują rodzice, są pokłosiem reformy edukacji wprowadzonej dwa lata temu. Paradoks polega na tym, że rodzice tak naprawdę nie mają się do kogo odwołać. Pani minister wyszła z założenia, że skoro samorząd sam prowadzi szkoły, to także sam się kontroluje. Do tej pory kuratoria mogły powstrzymać decyzje samorządów, w tej chwili, to radni decydują o

tym, czy dana szkoła ma zostać zamknięta, czy nie. Od takiej decyzji praktycznie nie ma odwołania. Samorządy mogą likwidować małe placówki nie tylko bez zgody ale nawet bez wiedzy mieszkańców.

To z kolei grozi przepełnieniem w szkołach, które nie zostaną zamknięte

Tak. Dodatkowym problemem jest też kumulacja roczników, jaka będzie miała miejsce we wrześniu 2012 roku. Kończy się okres przejściowy, w czasie którego ponad 90 proc. rodziców postanowiło zostawić swoje dzieci w przedszkolu. W 2012 roku w jednej klasie spotkają się dwa roczniki, siedmiolatki i sześciolatki, które od tego roku będą musiały pójść do szkoły.

Szkoły mają dostateczne zaplecze logistyczne do przeprowadzenia takich operacji?

Trudno wyobrazić sobie tę sytuację od strony logistycznej. Nie tylko fakt spotkania dwóch roczników, ale wprowadzenie reformy w ogóle. Sześciolatki powinny trafić do placówek, które są dla nich przyjazne. Dzieje się natomiast tak, że małe szkoły są zamykane i dzieci są umieszczane w tzw. zespołach, gdzie obok podstawówki jest gimnazjum, a niekiedy nawet liceum. W kwestii infrastruktury

nastąpiło zatrważające obniżenie standardów. To się dzieje w całej Polsce. W każdej miejscowości inaczej. Jednak ogólna tendencja jest taka, że równamy w dół, a nie w górę. Można to nazwać wyrównywaniem szans metodą walca. Dodatkowo nałożyły się inne zapisy tej ustawy, które mówią, że od września 2011 obowiązkową edukacją mają zostać objęte pięciolatki. W sytuacji, gdy w wielu miejscach w Polsce praktycznie nie ma przedszkoli, dzieci te będą musiały trafić do szkół. Szkoły natomiast są zamykane. Błędne koło.

Które ministerstwo nakręca...

Ministerstwo nazywa to „wyrównywaniem szans”, „kagankiem oświaty”, „poprawą jakości nauczania”. A rzeczywistość aż piszczy. Ministerstwo zrzuca teraz całą odpowiedzialność na samorządy, co jest niepoważne. To nie samorządy forsowały reformę.

Tak naprawdę nie chodzi tylko o to, że dzieci nie powinny uczyć się w szkołach-molochach, w przepełnionych klasach, na zmiany, w budynkach nieprzystosowanych do swojego wzrostu. Cały problem polega na tym, że nawet jeśli ozłocilibyśmy klasy dla sześciolatków, to nie zmieni to faktu, że tak małe dziecko nie jest gotowe do tego, żeby iść do szkoły. W tym wieku maluch najlepiej rozwija się i uczy w przedszkolu, poprzez zabawę. Tymczasem nowa podstawa programowa dla klas pierwszych jest krzywdząca dla dzieci.

Na czym owa krzywda polega?

Skrócono edukację o rok, bo pani minister wyszła z założenia, że powtarzanie programu jest błędem. Podczas studiów na zajęciach z pedagogiki wbijano nam do głów, że zawsze trzeba powtarzać: każda lekcja zaczyna się od powtórki, każdy tydzień zaczyna się od powtórki, bez powtarzania nie nauczymy się niczego, bo nowe informacje dość szybko nam się ulotnią.

Ministerstwo wprowadza nową pedagogikę, która zakłada, że jeśli człowiek coś raz usłyszy to już to wie raz na zawsze i utrwalanie byłoby stratą czasu. Dlatego ten najważniejszy etap edukacji, nauka czytania i pisanie został potraktowany po macoszemu. Dziecko ma poznać w ciągu roku wszystkie znaki alfabetu, w wersji pisanej i drukowanej, małe i wielkie, musi nauczyć się je pisać i czytać. Wcześniej nie mając nawet kontaktu z literami. Musi poznać trudne polskie głoski takie jak „dź”, „dż”, których w tym wieku ma nawet prawo nie słyszeć. Sześciolatek w niektórych obszarach może być na etapie rozwoju czterolatek. Tymczasem po roku wymaga się od dziecka, że będzie umiało czytać lektury i kaligrafować mieszcząc się w liniaturze. Maluch, który ma nieskostniały nadgarstek, niewyrobyony chwyt trójpalczasty.

Ministerstwo utrzymuje, że to wyrównanie do standardów zachodnich.

Na zachodzie nie wymaga się od sześciolatniego dziecka, żeby kaligrafowało, robiło prace domowe. W Niemczech na tym etapie dzieci uczą się liczyć do dziesięciu. Podstawa programowa jest zupełnie inna. Język polski jest bardzo trudny, jego dobre opanowanie wymaga czasu. Ten czas został skrócony o rok i wrzucony na barki o rok młodszego dziecka. Oprócz sfery fizycznej, jest jeszcze przecież kwestia emocji, rozwoju społecznego. Dziecko może świetnie czytać, ale jednocześnie nie sprostać wymaganiom siedzenia prosto w ławce przez dłuższy czas. Może mieć trudności z przystosowaniem się do systemu dzwonek – przerwa, i że nie można chodzić do łazienki kiedy mu się podoba. Do nowych wymagań dochodzi nowe środowisko, nowi rówieśnicy, niekoniecznie tak mili jak w przedszkolu – to wszystko jest dla dziecka stres. Często okazuje się, że bardzo inteligentny przedszkolak zupełnie nie radzi sobie w szkole. Dziecko obgryza paznokcie, jest nerwowe, a nawet zaczyna moczyć się w nocy. Tak działo się w Mołdawii. Problem nerwic był tam tak masowy, że wycofano się z wprowadzonej reformy. W Polsce również szykuje się edukacyjny armagedon: malutkie zestresowane dzieci w przepełnionych klasach i zapchanych świetlicach, które będą musiały wędrować z ciężkimi plecakami do szkół daleko od domu. Efekty tej reformy poniesie całe społeczeństwo, które będzie leczyć te dzieci z nerwic i chorób kręgosłupa.

Czy polskie szkolnictwo z zakresu nauczania początkowego wymagało reformy?

Punktem wyjścia do tej reformy nie było dobro dziecka, ale to, żeby za kilkanaście lat na rynek pracy szybciej został wypchnięty kolejny rocznik pracowników. Możemy wydłużyć wiek emerytalny o rok, ale to wywołuje sprzeciw związków zawodowych. Łatwiej jest przeprowadzić zmiany na maluchach, bo one się nie obronią, nie zdają sobie sprawy z tego co się z nimi robi. Zarówno dzieci jak i rodzice w całej tej sytuacji zostali potraktowani przedmiotowo.

Wprowadzane zmiany są niepotrzebne?

Reforma zniszczyła coś, co miało się w Polsce bardzo dobrze. Nasza edukacja przedszkolna i wczesnoszkolna były na wysokim poziomie. Program był dostosowany do rozwoju ucznia, zakładał naukę przez zabawę. Poprzednia podstawa programowa w pierwszych latach nauki nie oczekiwała od ucznia sztywnych wyników. Jeśli nie nauczył się czegoś w pierwszej klasie, mógł to nadrobić w drugiej itd. Podręczniki nie były pisane sztywno. Teraz wieloletni dorobek polskiej pedagogiki został zniszczony. Przedszkola zamieniły się w placówki stricte opiekuńcze gdzie nie ma nauki liter. Kuratorzy ostentacyjnie zabraniają wieszania na ścianach zerówek tablic z literkami(!) Panuje jakiś powszechny strach przed ministerstwem, kontrolami. Rodzice donoszą nam o tak skrajnych przypadkach, że nauczycielka na zebraniu oświadcza, że jeśli dziecko zapyta ją jaka to literka, to ona nie może mu odpowiedzieć.

Ministerstwo gra na naiwności dzieci i za wysokich ambicjach niektórych rodziców?

Dziecko może chcieć pójść do szkoły, bo nie wie, z czym to się wiąże. Nie jest zdolne przewidzieć skutków. Dziś większość dzieci to jedynacy, których rodzice nie mają świadomości tego, co na ich pociechy czeka w szkole. I często chcieliby widzieć w swoim dziecku inteligencję, którą przewyższa rówieśników. Większa jest świadomość rodziców, którzy już mają dzieci w szkole i wiedzą jak w praktyce wyglądają wieczory spędzone nad lekcjami, co się dzieje w gimnazjum. Wiedzą, że nagle nie zmieni się mentalności nauczycieli, którzy siłą przyzwyczajenia będą wymagać od sześciolatków tak samo jak od siedmiolatków.

Ktoś może pomyśleć, że jeden rok, to żadna różnica. Ale w przypadku dzieci to 1/5 życia. Mówienie, że to nie ma znaczenia jest objawem ignorancji.

Nikt nie przewidział, że ustawa wprowadzi podwójny problem: logistyczny i merytoryczny?

Już wcześniej zwracaliśmy na te problemy uwagę. Pani minister natomiast mówi, że to sprawa samorządów oraz nauczycieli, którzy ze wszystkim sobie poradzą. Nie, to nie tylko sprawa samorządów. Przyczyną tej sytuacji jest reforma z 2009 roku, a od tego już ministerstwo nie może umywać rąk. Pani minister nie może mówić do rodziców „zajmijcie się sprawą, nalegajcie na samorzady”, bo rodzice nie mają żadnych, ale to żadnych możliwości nacisku. Nikt nie chce ich słuchać. W Krośnie Odrzańskim, setki mieszkańców okupowały ratusz a radni i tak podjęli decyzję o likwidacji połowy szkół w gminie. Rodzice nie mają też w praktyce możliwości wyboru nauczyciela dla swojego dziecka. Ich rola została sprowadzona do biernych obserwatorów, których głównym obowiązkiem jest co roku wydać setki złotych na podręczniki.

Działania Stowarzyszenia są głosem sprzeciwu sfrustrowanych rodziców?

Rodzice protestują lokalnie, przeciwko likwidacji szkół, przeciwko wyrzucaniu z przedszkoli nie tylko sześć- ale i pięciolatków. My natomiast mówimy o problemie, który jest problemem centralnym, bo centralnie dopuszczono do reformy, którą od początku robiono bez pieniędzy, bez przygotowania i merytorycznej analizy ale przede wszystkim bez szacunku dla dzieci.

Wszystko to nie napawa optymizmem. Tym bardziej, że świadomość w tej kwestii jest niewielka.

Bardzo niepokoi nas to, że nikt nie mówi głośno o tym co dzieje się w edukacji najmłodszych dzieci. Wszyscy uważają, że skoro reforma weszła w życie to kości zostały rzucone i nie da się z tym nic zrobić. Ale rodzice się na to nie zgadzają. Dziś pytamy ministerstwo edukacji, co dalej? Czy to ma tak zostać? Przecież to się dzieje kosztem dzieci! Ponad 90 proc. rodziców nie wysłało sześciolatków do szkoły. W tym roku, w którym się wszystko waży, chcemy wyrazić swój sprzeciw wobec reformy. Rodzice kochają swoje dzieci i zrobią wszystko by nie pozwolić ich skrzywdzić. Demokracja pozwala nam na zgłoszenie obywatelskiego projektu ustawy i zbieranie pod nim podpisów. I to właśnie robimy.

Uda się zebrać wystarczającą liczbę podpisów?

To zależy od tego, czy rodzice się nie poddadzą. Patrząc dziś na ogromne zaangażowanie wielu osób z całej Polski widzę, że mamy naprawdę duże szanse. Każdy z nas robi w tej sprawie tyle ile może, choćby po to by móc kiedyś spojrzeć w oczy swojemu dziecku: „kochanie, zrobiłem wszystko co było w mojej mocy”.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.